



Sierpień roku 1944. Plakat PKWN na ulicach Lublina.

CAF — archiwum

Marian Flejsierowicz

KSZTAŁT OJCZYZNY

Tegoroczny 22 lipca obchodzimy w atmosferze wielkiego wzrostu społecznego zainteresowania sprawami polityki. Zbiegają się bowiem w tym roku ważne rocznice i ważne wydarzenia: 50 rocznica odzyskania niepodległości, 50 rocznica powstania Komunistycznej Partii Polski, 20 rocznica zjednoczenia PPR i PPS, które utworzyły Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Cześć nam wreszcie V Zjazd PZPR. Poprzedzi go wielka ogólnopartyjna dyskusja, którą zapoczątkowało XII Plenum KC PZPR.

Tezy zaproponowane na tym Plenum wytyczają główne kierunki tej dyskusji w wielu dziedzinach: polityki międzynarodowej, polityki partii w międzynarodowym ruchu robotniczym, ideologii, nauki, gospodarki, kultury... Dyskusja ta daje możliwość zabrania głosu na tematy najbardziej nas nurtujące; stwarza okazję wysunięcia rejestru „spraw do załatwienia”; dopinguje pojedynczych członków partii i poszczególnie organizacje partyjne różnych środowisk do jak najaktywniejszego włączenia się w to, co trochę patetycznie nazywa się tworzeniem przyszłego kształtu naszej ojczyzny.

Przyszły kształt naszej ojczyzny... Wróćmy myślą do 22 lipca 1944 roku. Albo jeszcze dalej. Sięgnijmy do programu Polskiej Partii Robotniczej, która natychmiast po swoim powstaniu proklamowała prowadzenie walki zbrojnej z okupantem „w oparciu o wszystkie patriotyczne i postępowe siły narodu. Właśnie PPR — jako pierwsza partia w historii naszego ruchu robotniczego — konsekwentnie wysunęła koncepcję łączenia walki o wyzwolenie narodowe z walką o wyzwolenie społeczne. Wysunęła koncepcję przyszłego kształtu Polski jako kraju, w którym władzę sprawują robotnicy i chłopcy w oparciu o sojusz z ZSRR. Właśnie ona — w samym środku nocy okupacyjnej — proklamowała walkę zbrojną z hitlerowskim okupantem, a także wysunęła zapowiedź przyszłej nacjonalizacji przemysłu, transportu i banków, reformy rolnej. Wystąpiła wreszcie z tąż osadzeniem Polski w historycznie uzasadnionych granicach.

Wszystkie koncepcje przyszłego kształtu kraju zdecydowanie zrywały z burżuazyjnymi tradycjami Polski przedwrześniowej. Biednej, zacofanej, skłóconej, zagubionej w swej tragicznej w skutkach mocarstwowej polityce i — jak się okazało — opuszczonej przez sojuszników.

Kiedy 22 lipca 1944 roku ogłoszono w Chełmie pierwszy oficjalny dokument władzy ludowej: Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, skierowany do wszystkich Polaków — znalazły się w nim główne tezy zawarte z deklaracji ideowo-politycznej PPR, zatytułowanej „O co walczymy” (listopad 1943).

Przypomnijmy, że Manifest Lipcowy wysuwał jako główne zadanie

narodu walkę zbrojną u boku Armii Radzieckiej, aż do ostatecznego rozbicia Niemiec hitlerowskich. Postulował też powrót do macierzy starych ziem polskich nad Odrą i Bałtykiem, zapowiadał nacjonalizację przemysłu, banków, transportu oraz reformę rolną. Przypomnijmy, że choć większość narodu akceptowała program zawarty w Manifestie nie brakło ludzi, nastawionych wrogo do sił, które wytyczały drogę zapowiadaną przez Manifest. Ze silną reakcją z bronią w ręku wystąpili przeciwko władzy ludowej, za którą wielu wartościowych ludzi oddało w pierwszych latach swe życie. Ze byli też ludzie, którzy — choć nie można ich nazywać wrogami programu PKWN — nie od razu zaakceptowali ten program. Zwłaszcza sprawa granic budziła największą wątpliwość. Niemal na takim stanie rzeczy zaważyła tradycja. Kiedy w 1918 roku polskie klasy posiadające i liderzy polityczni burżuazji zwrócili się na wschód, siłą rzeczy skazali Polskę na odgrywanie niechlubnej roli państwa kolonialnego, uciskającego ludność ukraińską i białoruską. Było to jednym z głównych źródeł naszej słabości. Mimo to ta szkodziła — i w konsekwencji zębna — koncepcja Polski „mocarstwowej” znajdowała na ogół akceptację naszej inteligencji.

Jerzy Knapik

...na zachód marsz!

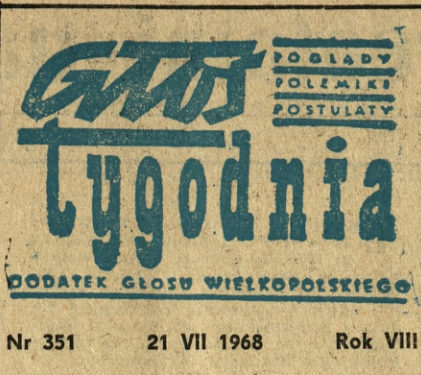
Ciepły lipcowy wieczór 1968 roku. Słońce chowa się już za horyzontem. We wsi Lubowo w powiecie szamotulskim panuje całkowity spokój. Wszyscy mieszkańcy pracują jeszcze przy żniwach na polu. W jednym z ogrodów dostrzegam mężczyznę...

— Plutonowy Kowalik, do dowódcy!

Porucznik Mikołaj Troicki, uczestnik walk o wolność Hiszpanii, lubi rozmawiać z żołnierzami. A specjalnie ze swoim doświadczonym plutonowym Mikołajem Kowalikiem.

— No, Kowalik, jutro będziemy w Polsce. Po apelu trzeba z wszystkimi o tym pomówić.

— Długo czekaliśmy na tę chwilę, poruczniku. Chłopcy nie mogą się doczekać, kiedy staną na ojczystej ziemi. Będzie radość. Cieszą się wszyscy, chociaż wiedzą, że wojna jeszcze nie skończona. A pamiętam, kiedy staliśmy pod bramą w Sielcach. Nie chcieliśmy wierzyć wtedy, że dostaniemy polskie mundury. Pierwszego wieczoru przy hymnie wzruszenie ścisnęło nas za gardło. Sielce były wówczas dla nas kawałkiem Polski. Gdy otrzymaliśmy broń, staliśmy się żołnierzami i dywizji. Młodych trzeba było uczyć sztuki wojennej. Ro-



cji. Ta stara koncepcja ciążyła na jej poglądach jeszcze wówczas, kiedy rodziła się Polska Ludowa.

W ciągu lat, które nas dzielią od ukazania się historycznego Manifestu, naród nasz przekonał się do słuszności koncepcji zawartych w Manifestie. Przekonał się, że granice Polski są sprawiedliwe i że nigdy byśmy nie mieli takich granic zachodnich, gdyby nie poparcie Związku Radzieckiego. Co by się stało, gdyby w 1944 r. istniał inny układ sił klasowych zarówno wewnątrz kraju jak i na forum międzynarodowym i do władzy doszła ekipa londyńska? Miałaby ona przeciw wówczas w kraju wielką przewagę nad siłami postępowymi zarówno pod względem odpowiednio przygotowanych kadr jak i środków materialnych!

Mówił o tych sprawach na XII Plenum KC PZPR Władysław Gomułka:

„Cóż by było wówczas z Polską? Czy byłibyśmy? To nie jest tylko akademickie pytanie. Nasz kraj byłby wówczas bez ziem zachodnich — i bez ziem wschodnich. Byłby jakimś Księstwem Warszawskim, byłby niczym”.

Nie trzeba chyba szerzej tłumaczyć dlaczego właśnie tak by się stało. Ale czy wszyscy to rozumieją? Czy wszyscy uświadamiają sobie, że u podłoża koncepcji PPR, wyrażonej potem w Manifestie, i tak konsekwentnie realizowanej do dnia dzisiejszego przez PZPR, koncepcji oparcia trwałości nowych granic o sojusz z ZSRR — tkwi tak często wspomnianą polską racją stanu? Czy wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że obóz londyński chciał wówczas Polski burżuazyjnej? Czy cały ten balast zgubnych tradycji historycznych, ich akceptacji czy godzenia się z nimi już wyrzuciliśmy bez reszty za burtę? Że jeszcze dzisiaj istnieje u nas reakcja? Czy wreszcie wszyscy dostrzegają, że większość tych tez, które niegdyś głosił londyński rząd emigracyjny, stosują dzisiaj różne wrogię Polsce ośrodki z „Wolną Europą” na czele?

Niedawne wydarzenia marcowe dowiodły, że są jeszcze w kraju siły — co prawda słabe, ale nie rezygnujące z prób walki — wsteczne, które chciałyby Polskę związać z imperializmem, z kapitalistycznym zachodem, które chciałyby cofnąć nas na stary zgubny szlak, ten, z którego ostatecznie zeszedliśmy w 1944 roku. Nasz naród wszedł wówczas na drogę budowy socjalizmu, budowy dobrobytu. I dzisiaj jesteśmy bliżej celu niż kiedykolwiek, bliżej niż 10 lat temu, 5 lat temu, niż przed rokiem. O całą epokę bliżej niż przed 24 laty kiedy światło dzienne ujrzał Manifest PKWN.

Lesław Tokarski

My ZMP

„Partia nasza nigdy nie zapomni o wielkim wkładzie ZMP w dzieło budowy Polski Ludowej”.

Władysław Gomułka

Uczestniczyłem kiedyś w spotkaniu, podczas którego starły się ostro poglądy działaczy Związku Młodzieży Polskiej na temat celów i metod pracy tej organizacji. Kiedy to było? Dwadzieścia lat temu? Piętnaście? Nie, dyskusja ta toczyła się w maju 1968 r. Była tak żywa i pełna ognia, że gdyby świadkiem jej był obserwator spoza naszego kraju, nie znając naszej najnowszej historii — mógłby sądzić, że ZMP istnieje i działa do dzisiejszego dnia.

Podobnych dyskusji odbywa się wiele, zwłaszcza w tym roku. W lipcu bowiem mija dwadzieścia lat od chwili powstania organizacji. Nie zastąpią te dyskusje rzecz jasna pełnej oceny działalności ZMP. Okres, w którym działał Związek, był skomplikowany, historycy będą musieli jeszcze sporo się natrudzić, zanim dadzą w pełni obiektywną analizę lat 1948—1956. Dopiero na szerokim tle takiej analizy możliwe będzie przedstawienie pozbawionej uproszczeń oceny ZMP. Nad samą historią organizacji również wypadnie nie mało popracować. Jak stwierdziła na łamach „Argumentów” Janina Balcerzak — dyrektor Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego — potrzeba pięciu lat jeszcze na takie uporządkowanie akt organizacji, które umożliwiłby dostęp do nich historykom.

Nie oznacza to rzecz jasna, że nie można dziś formułować pewnych opinii o dorobku organizacji. Istnieje przecież społeczne zapotrzebowanie na takie opinie. Pokoleniu, które przeszło przez ZMP potrzebna jest, jak każdemu pokoleniu, samowiedza, świadomość tego, co się osiągnęło i co się przegapiło. U jego następców istnieje natomiast kwestia tradycji, doświadczeń, do których powinno się nawiązywać i poknieć, których należy unikać. Dobrze więc, że toczą się dyskusje na ten temat, zwłaszcza, że pożyteczna praca historyków nie może zastąpić wspomnień i refleksji bezpośrednich uczestników wydarzeń. Tak też charakter osobistych refleksji, dyskusyjnych i nie roszących sobie pretensji do wyczerpania jakiegokolwiek tematu — mają niniejsze notatki.

Wśród pytań, jakie zadaje się często w czasie wymiany zdań o ZMP, szczególnie istotne są moim zdaniem następujące: jak doszło do zjednoczenia organizacji młodzieży w 1948 r.; czy nie było ono przedwczesne? Jak ogólnie ocenić ZMP — czy w jego działalności przeważały elementy pozytywne czy negatywne? W jakich okolicznościach nastąpiło rozwiązanie ZMP?

Można się spotkać niekiedy ze zdaniem, że zjednoczenie ZWM, OMTUR, Wici i ZMD zostało dokonane zbyt szybko, że nie było poprzedzone wystarczającą pracą przygotowawczą. W rezultacie między członkami, a zwłaszcza aktywistami dawnych organizacji pozostały — według tej opinii — przedziały, które zaważyły na działalności Związku i przyczyniły się do powstania późniejszych jego błędów.

Nie sądzę, żeby ta opinia była słuszna. Po pierwsze bowiem, zjed-

noczenie organizacji młodzieży w lipcu 1948 r. spełniło swą rolę, skupiając ich członków wokół wspólnego programu, jakim była odbudowa zniszczonego kraju i dokonywanie rewolucyjnych przemian gospodarczych, społecznych i kulturalnych. W toczącej się wówczas ostrej walce klasowej nie bez znaczenia było to, że zjednoczenie pokrzyżowało plany sił prawicowych starających się wpłynąć na ewolucję organizacji młodzieżowych w sposób wygodny. Siły te starały się hamować procesy jednościowe, rozbudzać nieufność między członkami różnych organizacji, podsycać tendencje socjaldemokratyczne i agrarystyczne.

Po drugie — jednoczenie się organizacji młodzieżowych było procesem naturalnym, nie narzuconym sztucznie, wynikającym z sytuacji w jakiej działały. Wszystkie stały na gruncie Polski Ludowej, ich członkowie walczyli, generalnie rzecz biorąc, o te same cele (choć nie należy lekceważyć pewnych różnic wynikających z programu i tradycji). Gdyby było inaczej, nie doszłoby przecież do zjednoczenia.

Dwadzieścia lat temu, w lipcu, w dniach poprzedzających zjednoczenie, Centralny Komitet Jedności Młodzieży wysłał do województw grupy aktywów, by w czasie spotkań z młodzieżą kontynuować rozmowy o problemach związanych z utworzeniem ZMP. Gdy jako członek takiej ekipy działałem w województwie kieleckim dyskutowałem z młodzieżą kilkunastu wsi i miasteczek, z członkami ZWM, OMTUR i Wici — stykałem się oczywiście ze zrozumiałym sentymentem wobec organizacji, do której młodzi dotychczas należeli. Jednocześnie jednak w ogromnej większości wypadków spotykałem się ze zrozumieniem potrzeby zjednoczenia. Młodzież zastanawiała się na ogół nie nad tym, czy się jednoczyć, lecz jak to zrobić i nad planami działania we wspólniej już organizacji.

Nastroje takie panowały nie tylko u szeregowych członków, lecz także wśród większości aktywów organizacji. Gdy już dzieło się osobistymi przeżyciami, wspomnę jeszcze o kur się dla aktywów jednoczących się organizacji, który odbywał się w czerwcu 1948 r. w Bydgoszczy, gdzie byłem jednym z instruktorów. Panowała tam atmosfera przyjaźni, zarówno wśród słuchaczy jak i wykładowców oraz instruktorów kursu, reprezentujących ZWM, OMTUR i Wici. Również tam odbywały się dyskusje nie nad tym, czy wspólnie walczyć z reakcją, lecz jak to robić. Był to nastrój radości, z którą wiązały się wielkie nadzieje na przyszłe sukcesy zjednoczonej organizacji. Jednocześnie była to atmosfera bojowości i zdecydowania w walce z wrogiem, która długo jeszcze utrzymywała się w ZMP. Nie przypadkowo jedną z najpopularniejszych pieśni w nowej organizacji była ta nieco buńczuczna, zawierająca słowa: „My ZMP reakcji nie boimy się”.

Nie chciałbym upraszczać tej sprawy. Pewna część aktywów niektórych organizacji niechętna była zjednoczeniu, ulegała socjaldemokratyzmowi, agraryzmowi czy klerykalizmowi. Począwszy od pierwszych miesięcy po wojnie, przeszkadzała oni narastaniu tendencji jednościowych. Dlatego nie można było biernie czekać na to, aż zrozumienie sensu połączenia organizacji samo żywiołowo dojrzeje. Niezbędna była wielka praca wśród młodzieży, by podstawowa część członków organizacji w pełni zrozumiała potrzebę zjednoczenia. Praca ta została podjęta i w rezultacie przeciwnicy jedności znaleźli się na marginesie wydarzeń.

Jeżeli więc dochodziło potem do wypaczeń w ZMP, np. do niedoceny części aktywów dawnych organizacji, to nie dlatego, że zjednoczenie nastąpiło rzekomo zbyt nagle, za szybko, bez odpowiednich prac przygotowawczych. Przedziały między członkami poprzednio istniejących organizacji nie odegrały większej roli, szybko się zacierały. Rola odegrały tu inne czynniki, przede wszystkim zewnętrzne wobec ruchu młodzieżowego, związane z ogólną atmosferą panującą po roku 1948, a zwłaszcza z walką z tzw. odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym.

Związek Młodzieży Polskiej był w okresie swego istnienia, a zwłaszcza w latach 1955—1956 ostro krytykowany. Czy było za co go krytykować? Z pewnością. Występowały elementy formalizmu, deklaratywności, schematyzmu. W ZMP podobnie jak w całym życiu określone skutki przynosiły poglądy związane z kultem jednostki. Ale istotne jest przecież, kto i po co kry-

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 4

Rozmawiamy z laureatami nagród państwowych

W poszukiwaniu nowych metod

— Ta klinika kierował pan profesor od początku jej istnienia, prawda?

— Tak, po wojnie mianowano mnie jej kierownikiem. Dzięki temu miałem okazję ten odbudowany gmach urządzić według własnych koncepcji. Chodziło o to, by klinika była maksymalnie dostosowana do kompleksowego leczenia chorych, tzn. nie tylko fizycznego lecz również uwzględniającego potrzeby psychiczne, socjalne i zawodowe pacjenta. Cały gmach dostosowano do tego celu, wyposażając go w niezbędne pracownie, oddziały — np. leczniczego usprawniania i terapii zajęciowej, pokoje zabiegowe, sale gimnastyczne, warsztaty ortopedyczne, wreszcie szkołę i przedszkole dla dzieci. Dzięki temu mogliśmy podjąć wprowadzenie szeroko pojętej rehabilitacji, która jest niezbędna dla pełnego wyleczenia. Jedynie w taki sposób, dzięki pełnej, ciągłej i wielokierunkowej opiece udaje się przywrócić wielu ludziom normalne życie.

— Wśród nowych metod leczniczych, których pan profesor jest autorem — szczególne miejsce zajmuje pańska metoda leczenia zwichnięcia stawu biodrowego...

— Tak, tym zagadnieniem interesuję się właściwie od początku mojej pracy zawodowej. Pracę habilitacyjną również mu poświęciłem. Mimo to nadal całe nasze zainteresowanie skierujemy na wypracowanie metod leczenia zapobiegawczego, by leczenie operacyjne nie było konieczne. Jest to jednak tylko wtedy możliwe, jeśli wada zostanie dość wcześnie wykryta.

— Drugi pasjonujący pana problem to rehabilitacja?

— Bez rehabilitacji nie może być mowy o pełnym wyleczeniu chorego. Jest ona dalszym ciągiem, uzupełnieniem i rozwinięciem kompleksowego leczenia. I to nie tylko w zakresie chorób i uszkodzeń narządów ruchu, lecz także w odniesieniu do innych schorzeń. Dlatego niezmiernie ważne jest ciągłe szkolenie lekarzy i pielęgniarek w zakresie rehabilitacji. Ogromnie istotny i potrzebny, również z punktu widzenia ekonomicznego — jest rozwój rehabilitacji przemysłowej. To są zadania, które stoją przed nami, które oczekują rozwiązania. Za bierzemy się do nich z chwilą wykończenia i przekazania do użytku, stojącego już pod dachem, budynku na terenie kliniki.

— A nad czym pan teraz pracuje?

— Pracujemy obecnie nad dostosowaniem metod operacyjnych do potrzeb rehabilitacji. Chcemy moderni-



Profesor doktor Wiktor Dęga (...) przekroczył granice narodowe i ofiarował swą wiedzę i usługi całej ludzkości (...). Dlatego m. in. jest dziś wzorem i natchnieniem dla wszystkich lekarzy". Słowa te wypowiedziano na Światowym Kongresie Rehabilitacji w 1966 roku, wręczając wybitnemu poznańskiemu naukowcowi i praktykowi najwyższą światową nagrodę w dziedzinie rehabilitacji. Za swe wybitne zasługi w pracy zawodowej i społecznej prof. dr W. Dęga jest krajowym konsultantem odznaczony i nagrodzony państwowymi — m. in. Orderem Budowniczego Polski Ludowej. Wczoraj w Radzie Państwa wręczono profesorowi indywidualną nagrodę państwową I stopnia, za osiągnięcia naukowe ostatnich dwu lat, szczególnie w zakresie wypracowania metody leczenia zwichnięcia stawu biodrowego.

Jako twórca wielu nowych metod leczniczych i rehabilitacyjnych prof. Dęga jest krajowym konsultantem od spraw rehabilitacji oraz członkiem kilkunastu towarzystw naukowych różnych państw, a także towarzystw międzynarodowych. Jest autorem ponad 140 prac naukowych, nauczycielem wielu znanych już dziś, wybitnych specjalistów-ortopedów.

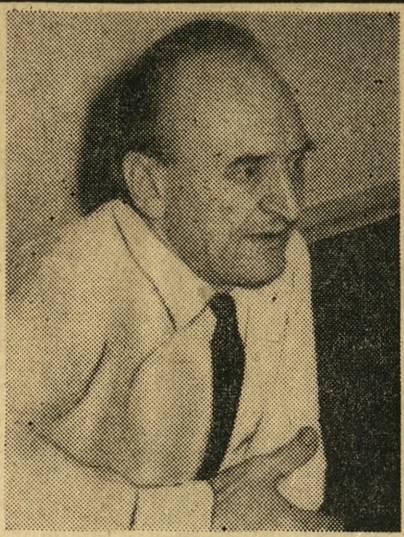
Jednemu z nich prof. dr A. Sengerowi przekazał kierownictwo Kliniki Ortopedycznej AM. Mimo to nie ma dnia, który profesor spędziłby z dala od sal operacyjnych, od pracowni, od chorych.

zować metody operacyjne, wykorzystując postęp techniczny i nowe materiały, którymi dziś dysponujemy. Celem modernizacji jest uzyskanie możliwości wczesnego uruchomienia operowanej kończyny i uzyskanie większej jej sprawności. Umożliwi to szybszy powrót pacjenta do normalnego życia, skróci pobyt w szpitalu i zmniejszy absencję chorobową. Klinika jest w tym szczęśliwym położeniu, że dysponuje własnymi warsztatami ortopedycznymi, co pozwala na szybkie realizowanie wszelkich pomysłów konstruktorskich.

Rozmawiała: WANDA CHILA

Eugeniusz Paukszt — ur. w 1916 r. w Wilnie, gdzie debiutował w 1938. W okresie wojny uczestniczył w działalności konspiracyjnej w AK. Do Poznania przybył w 1947 r. i obejmuje funkcję kierownika Wydziału Zaludnienia i Ekonomiki Ziemi Odkrytych w Zarządzie Głównym Polskiego Związku Zachodniego. Od r. 1950 poświęca się wyłącznie twórczości literackiej nie porzucając jednak pracy społecznej (długoletni prezes oddziału ZLP w Poznaniu, radny WRN, przewodniczący Komisji Kultury WRN itd.). Od r. 1966 jest członkiem Rady Kultury przy Ministrze Kultury i Sztuki. Otrzymał szereg odznaczeń państwowych i honorowych (m. in. Krzyż Komandorski Orderu Polonia Restituta), liczne nagrody literackie, regionalne, nagrodę literacką MON. Wydał 22 powieści, kilka tomów opowiadań i antologii.

W tym roku został laureatem nagrody państwowej w dziedzinie literatury.



Przez polskość do Europy

— Zróbmy zdjęcie w ogrodzie albo na ulicy, zerwijmy z nawykami przedstawiania pisarza w gabinecie, na tle półek z książkami — proponuje Eugeniusz Paukszt.

— W wizerunku pisarza zamkniętego w czterech ścianach, zasłoniętego barrykadą opasłych tomów, kryje się jakiś fałsz. Tak sobie wyobrażam portret dziesiętnastowieczny. Dzisiejszego autora należałoby raczej umieszczać między ludźmi, może nawet nie na pierwszym planie.

— Gabinet pozostał miejscem dokonywania zapisu, najgłębsze treści rodzą się rzeczywicie gdzie indziej. Wynikają, albo powinny wynikać, z dynamicznego istnienia pisarza w społeczeństwie. Nie wierzę w literaturę zimną, beznamiętną.

— Więc przeżył, pierwiastek emocjonalny kształtuje konstrukcję intelektualną?

— U mnie na pewno, chociaż znalazłby się także obrońcy odwrotnego porządku.

— Od czasów romantyzmu mówi się o posłannictwie literatury. Niewątpliwie i Rej i Kochanowski tak pojmowali jej funkcję, ale dopiero romantycy zamienili ją w pełną świadomość posłannictwa. W jakiej mierze romantyzm na tradycję pozostaje bliska współczesnemu pisarzowi?

— Sądzę, że polityka i sztuka, a najbardziej właśnie literatura, nadal decydują o ideologicznym i moralnym obliczu świata. Oddziaływanie literatury nie jest tak silne, jak w czasach romantyzmu, nikt nie woła o „rząd dusz", ale całe pokolenia w literaturze, w sztuce szukają dla siebie wzorów. Sam wychowałem się w romantycznej atmosferze, zapamiętałem z Matejki, Grottgera, szablę dziadka-powstańca, zasluchany w opowieści o bojach i kibitkach. Całą okupację spędziłem w ruchu oporu, w podobnej i jeszcze stężonej bezpośrednim przeżyciem atmosferze. Stąd moje zarażenie polskością. Zaw sze pójdę przez polskość do Europy, nigdy odwrotnie.

— Mówi pan o polskości jak o specyficznym zjawisku. W zupełności przekonuje mnie takie ujęcie, spróbujmy jednak zebrać zespół najistotniejszych cech tego zjawiska.

— Wielu Polaków wracających z dalekich podróży po świecie stwierdza, że Polska to najbardziej egzotyczny kraj. Na naszym terytorium, w skali świata tak przecież małym odnajduje się ślady ścierania tyłu

prądów, tyłu wpływów z różnych stron. Wpływy te nie utrzymały się w czystej postaci, naród zaadaptował je twórczo, co świadczy o jego sile. I na całym świecie odnajduje się groby Polaków. Świat zna nas jako tych, którzy krąży z hasłem „za naszą i waszą wolność". Wynikający z sytuacji geopolitycznej stan ciągłego zagrożenia wykształcił swoisty patriotyzm i swoiste postawy życiowe. Ta sama sytuacja zmuszała nas do nieustannych wędrówek, Polacy stali się narodem wszędzie obecnym. Narodem wcierniętym, którzy wracają, a przynajmniej muszą czuć możliwość powrotu. W Adampolu w Turcji zetknąłem się z Polakami oderwanymi od ojczyzny siedem pokoleń temu i w ich domach było coś z atmosfery mojego dzieciństwa.

— Więc droga przez polskość do Europy polega na tym, aby Europie i światu dowiedzieć, że jesteśmy tacy, jakimi nas znają, oczywiście od tej najlepszej strony. Jeśli dobrze rozumiem, tak właśnie pojmuję pan posłannictwo literatury. Rozumiem to także jako przeciwstawienie się apostołom „europizacji polskiego ducha", co zwykle sprowadza się do kopiowania cudzych wzorów. Przemawiając zapożyczonym językiem możemy jedynie wywołać zdziwienie lub zwyczajnie się ośmieszyć.

— Zatrzymajmy się jednak na chwilę na postawach życiowych charakterystycznych dla zjawiska polskości. Postawy te nie we wszystkim wydają się godne pielęgnowania, a do zadań literatury należy popularyzacja modeli osobowości pożądaných przez społeczeństwo.

— Jak pan się zorientował, nie zaliczam się do przeciwników romantyki. Wierzę, że romantyka podporządkowana trzeźwości, pracowitości, cierpliwości długofalowego działania, nacechowana głębokim sza-

cunkiem dla człowieka — sprzyja tworzeniu oblicza polskości. To nowe oblicze doskonale zgadza się z naszym charakterem narodowym, nie wolno wytracać zdrowych pierwiastków.

Obserwuję kształtowanie się ludzkich postaw na Ziemiach Zachodnich — w młodym społeczeństwie najlepiej widać, jak stapiają się tam odwieczne cechy polskości z elementami wniesionymi przez przemiany ostatnich lat.

— W pańskim obszernym dorobku pisarskim problematyka tych ziem zajmuje przecież najwięcej miejsca. Jak zrodziły się u pana te zainteresowania?

— Patrząc z perspektywy historycznej. Jestem głęboko przekonany, że po raz pierwszy w historii mamy szansę utrzymania tych ziem na zawsze. Racja stanu wymaga, by szanse tej wszelkimi siłami wspomóc. Dlatego starałem się i staram zarówno osobistym działaniem jak i piórem zrobić wszystko, aby współczesnemu Polakowi ukazać wagę sprawy Nadodrze i Północy. Wagę polityczną czy geopolityczną, jak również ekonomiczną i kulturową. Właśnie na zachodnich i północnych terenach spotykamy się z zjawiskami mającymi olbrzymie znaczenie dla kształtu życia narodowego. Patrząc kategoriami patriotycznymi, jakże nie docenić faktu, iż właśnie na Nadodrze najlepiej możemy obserwować wykształcenie się nowego typu Polaka, obywatela polskiego. Albo, że dzięki powrotowi Ziemi Zachodnich i Północnych, często niepostrzeżenie dla nas samych, stajemy się państwem morskim. To dwa tylko przykłady, można by je mnożyć. Wniosek z tego wypływa jasny — Nadodrze i Północ mieszczą w sobie tak wiele złożonych, bogatych treści zapadających artystycznie, na domiar postępujących w społeczno-narodowym, najbardziej wartościowym nurcie naszej literatury, że pisarz czujący, mierzący świat i rozumem i uczuciem — nie może przechodzić obok obojętnie. I tu geneza i trwałość powiazań z Nadodrzem.

— Powiedział pan o osobistym działaniu. To znamienne, że pisarze coraz częściej szukają satysfakcji nie tylko w sukcesach wydawniczych, ale w czynnym angażowaniu się w życie społeczne. Ale przypuszczam, że uznanie czytelników sprawia najwięcej radości?

— Z przyjemnością oglądam w bibliotekach poszarpane egzemplarze moich książek. Ich opłakany stan to mój największy sukces, dowód szerokiego czytelniczego odbioru. Zasadniczą nagrodą, którą mi przyznano, uważam za potwierdzenie społecznego uznania. Jest to ogromna satysfakcja, ale oświeżona. Na co dzień cieszę się tym, że towarzyszy mi wierne grono czytelników i tym, że zdobywam nowych wśród młodzieży. Wiem, że nie będę pisarzem jednego pokolenia, a to bardzo wiele znaczy.

Rozmawiał: WOJCIECH BURTOWY

...na zachód marsz!

Dokończenie ze str. 1

przyjmuje zaproszenie do leśniczówki. Wieczorem mieszkańcy wsi po raz pierwszy słuchają pieśni o rzecce, która przypomina Wisłę i o pierwszym korpusie, który idzie na zachód. Żołnierze nie żałują płuc. Pieśń leci wysoko, daleko.

W przyfrontowym lesie 21 lipca rozwieszono na drzewach duże afisze. Manifest Lipcowy. Zapowiedź innej Polski, sprawiedliwej dla wszystkich. Gromadzą się żołnierze, czytają go głośno, komentują. Najwyższe dyskusje wywołuje zapowiedź reformy rolnej. Przecież najwięcej żołnierzy pochodzi właśnie ze wsi. To dla nich ziemia. To jest ich manifest.

W parę dni później bateria wkrocza do Lublina.

— Patrzcie chłopcy, jak na procesji! — krzyczy Kowalik. Tyle kwiatów i ludzi.

Nieznani wciskają żołnierzom papierosy, fotografie, żywność. Całują ich. Łzy zrosiły twarze nie tylko cywilów. Na ten dzień czekali żołnierze długo.

Ale wojna trwa. Za Bugiem jest Wisła. I znowu trzeba ją forsować. Tu, pod Gołębem, radziosta Michał Okurzawa w dniu 6 sierpnia z przyczółka na zachodnim brzegu Wisły prowadzi ogień artylerii polskiej. Do dzisiaj Kowalik pamięta ostatni meldunek nadany do baterii:

— Przed nami o 10 kroków Niemcy. Został tylko porucznik i ja. Wszyskie działa na mnie!!!

Nie ma Michał Okurzawa swojej mogiły. Pozostała tylko legenda o bohaterstwie radziście.

W Bydgoszczy uznaje plutonowy, iż nadszedł czas by przygotować piękny biało-czerwony sztandar. Szyje go u krawca.

— Przyda się w Berlinie — odpowiada na stawiane przez kolegów pytania. Sztandar przydaje się, tylko nad Bramą Brandenburską nie zawiesza go Mikołaj Kowalik. Robią to jego towarzysze broni. Sam leży ciężko ranny w szpitalu.

Zaraz po wojnie wraca do cywila. Zamienia broń na plug. Ojczyzna po potrzebie chleba. Ściąga z zachodniej Ukrainy swoją rodzinę i osiedla się w Lubowie. Tu, nad Notecią, gospodarzy na 11 hektarach. Ale pierwsze dni i tu nie są spokojne. Plutonowy Kowalik tworzy oddział Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Jest jego dowódca. Zwykły mawiać: „Trzeba zabezpieczyć to, cośmy zdobyli". Jest skromny, życzliwy dla ludzi i to zjednuje mu sympatie.

Czasami zagląda tu harcowski zwiad, by posłuchać o tych dniach i o ludziach, którzy dla młodych otworzyli szerokie perspektywy. Kowalik chętnie opowiada.

Dzisiaj ma już 65 lat. Zachował dla siebie domek z kawałkiem ogródka. Czasy wojny odbiły się na zdrowiu. Ale nie rezygnuje z działalności społecznej. Stała się ona częścią jego skromnego życia. Jest komentantem oddziału samoobrony gromady Chojno. Swoich żołnierzy uczy bronić i kochać ojczyznę.

22 Lipca rano wyjmie z szafy wy-czyszczony i wyprasowany mundur. Ubierze go. Poprawi 3 wojennych medali. Popatrzy na odznakę „Zasłużony dla Rozwoju Województwa Poznańskiego". Przypomni sobie kolegów, którzy odeszli i którzy żyją i te piękne dni przed 24 laty gdy maszerowali na zachód, gdy przysięgali ziemi ojczystej wiernie służyć. I tej przysięgi Mikołaj Kowalik dotrzymał.

JERZY KNAPIK



Ukryte w ziemi niewypały i miny, brak sprzętu, na wielu terenach groźba reakcyjnych band — takie były warunki pierwszych żniw na polach wolnej Polski. Z pomocą rolnikom przychodziło wojsko.

CAF — archiwum



Akcja sztuki Zbigniewa Szumowskiego „Dom”, wyróżnionej na zorganizowanym przez TV konkursie na widowisko telewizyjne o tematyce współczesnej, rozgrywa się na poznańskich Winiarach, podczas walk o nasze miasto na przełomie stycznia i lutego 1945 roku

— Autor jest naszym kolegą redakcyjnym, historyk i publicysta. Ma 43 lata, w czasie wojny uczestniczył w ruchu oporu. Po wojnie był nauczycielem, pracownikiem naukowym. Od 12 lat pracuje zawodowo jako dziennikarz specjalizujący się w zagadnieniach niemieckich. Jest również autorem szeregu prac naukowych lub dokumentalizacyjnych z dziejów ruchu robotniczego w Poznaniu, o remilitaryzacji NRF, Wielkopolsce w latach drugiej wojny światowej — laureatem TRZZ, Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, przyznanej mu w 1966 roku nagrody kulturalnej Poznania i Województwa.

Do tematyki wielkopolskiej nawiązuje również w swej twórczości literackiej. Przed trzema laty drukowaliśmy na łamach „Głosu” jako reportaż historyczny o wyzwoleniu Poznańskiego w 1945 roku pt. „Ostatnie dni Warteau”. Przed rokiem Teatr Nowy wystawiał na swej scenie oraz przedstawiał w teatralnym festiwalu TV, jego faktomontaż przedstawiający problematykę walk o Poznań ze szczebla dowódców — radzieckiego i hitlerowskiego. Był zresztą też konsultantem naukowym ukończonego już przez „Czołówek” zapowiadanego na ekranach filmu dokumentalnego „Cytadela”.

Tym razem Zbigniew Szumowski przedstawia perypetie garstki żołnierzy radzieckich ckrążonych kontratakami hitlerowskim w jednym z domów na przedpolu Cytadeli, znajdujących pomoc Polaków. To sztuki stanowią autentyczne wydarzenia.

Oto wstępny fragment.

Dwupiętrowy dom przedmiejski. Na parterze sklep z szyldem „KOLONIALWAREN”. Wybucha granatu rozbija wejście doń; sypie się szkło wystawowe. Do wnętrza wdzierają się żołnierze radzieccy.

★

Lokal sklepu. Z worka maki prutego serią wytryskuje biały, kryjący wszystko obłok. Dwóch żołnierzy radzieckich dobiega już ku drzwiom w głębi „kolonialki”; jeden otwiera je kopniakiem, drugi strzela za nie z pepeszy. Przez otwarte drzwi widać sieni i schody. Z góry coś spada do sieni. Rosyjskie przekleństwo, obaj żołnierze padają, wybuch. Jeden natychmiast podrywa się i strzelając przeskakując poza drzwi. Drugi wciąż leży. Do sklepu wbiega jeszcze kapitan wraz z kilkoma żołnierzami — natychmiast szturmują przez otwarte drzwi. Odgłosy walki. Widac jak kapitan wraz z kilkoma żołnierzami strzelają pędząc po schodach.

Kapitan wraz z żołnierzami osiąga już piętro. Po dwóch żołnierzach wchodzi do poszczególnych mieszkań. Dwóch dalszych ubezpiecza. Kapitan oraz jeden żołnierz (Iwanow) skradają się na następne piętro. Nim je osiągną, zagraża im drogę seria broni maszynowej z drugiego piętra. Kapitan z żołnierzem cofają się na pierwsze piętro, gdzie właśnie jedna z dwójek żołnierzy, które weszły do mieszkań, wyprowadza dwóch Niemców. Jeden z jeńców, rośły chłopak w panterce z dystynkcjami „Faenricha” — podchorążego, w króliczej czapce na głowie próbuje zachować hardość. Drugi — starszy, przerażony, w żołnierskim płaszczu i furacjerce naciąganej na uszy, trzyma w rękę jakąś białą szmatę.

JENIEC (wykrzykuje) Nicht schies sen! Nicht schiessen! (dostzegając kapitana) Hitler kaputt! Es lebe Stalin!

KAPITAN (lekceważąc wykrzykiującego, do Niemca — podchorążego) Wieviel deutsche Soldaten in diesem Haus?

NIEMIEC — PODCH (z zaciętością) Ich weiss es nicht. JENIEC (ze strachliwą przymilnością) Gesamt achtzehn Mann. Ausser uns sechzehn. Drei Emge zwound vierzig, eine dort (wskazując palcem podniesioną ręką za siebie).

NIEMIEC — PODCH. (mierząc jeńca — żołnierza pogardliwym wzrokiem) Ein lausiger Hosenpissler! (Do kapitana) Sie sollen ihm nicht glauben.

(W tej chwili potężny wybuch wystrzelonego z drugiego piętra panzerfausta rozbija podest półpietra. Zarówno Niemcy, jak i żołnierze radzieccy na chwilę rozsypani się ze zwartej grupki pod ścianą. Nim jeszcze rozwiewa się pył, Niemiec — podchorąży wykorzystuje odwrócenie uwagi żołnierzy radzieckich. Podtrzymując lewą ręką swą czapkę, susem skacze w dół schodów, bije na odlew prawicą stojącego tu żołnierza radzieckiego i jeszcze jednym susem znika z pola widzenia. Żołnierze chcą za nim strzelać).

KAPITAN Nie strzelać! Tam nasil! (Słychać jeszcze tupot, trzaśnięcie drzwi. Zapanowuje na chwilę cisza. Potem znów tupot i schodami wbiega starszy sierżant. Nie dochodząc piętra, staje).

STARSZY SIERŻANT Towarzyszu kapitanie — parter czysty, stanowiska zajęte.

KAPITAN Gdzie ten Niemiec?

STARSZY SIERŻANT Jaki?

KAPITAN (machając ze złością ręką) Piwnica!

(Starszy sierżant zbiega)

KAPITAN (patrząc na zrujnowane schody wiodące na drugie piętro) Ubiegli nas...

STARSZY SIERŻANT (wołając z dołu). Są drzwi do piwnicy... Zamknięte. Przydałby się gra... (słychać strzał). Kasa taki syn... (znowu słychać dwa strzały rekuszetyjące po klatce) Iwanow! Dawaj tu tego Fryca!

(Iwanow, na przyzwalający gest kapitana, popycha jeńca w stronę schodów. Schodzi z nim na parter, do zaczajonego pod ścianą starszego sierżanta).

STARSZY SIERŻANT Niech powie temu, by się poddał...

IWANOW (Podtykając pepeszę pod żebra jeńca, rozkazując) Du sollst ihm sagen, dass...

JENIEC Jawohl, ich werde es (zaraz też wola w stronę drzwi) Herr Faehnrich! Wozu diese Dummheiten. Das Spiel ist aus... Hitler kaputt!

(Znowu dwa strzały).

STARSZY SIERŻANT Co tamten ma jeszcze?

IWANOW Welche Waffe hat der noch?

JENIEC Er hatte eine Walterpistole (pokazuje, że pod czapką i dodaje konfidencjonalnie) Aber im Keller gibst viele Handgranaten und Panzerfaustpatronen... (Iwanow chce tłumaczyć).

STARSZY SIERŻANT Zrozumiałem... (Wola ku górze) Odsylam Fryca... (Do jeńca podkreślając gestem rękę) Idź! (Po chwili, kiedy jeniec znika, do Iwanowa). Masz granaty? (Biorąc jeden z podanych przez Iwanowa). Ja pierwszy, pod drzwi, a ty, kiedy się utworzą, swój do środka.

(W tej chwili z piwnicy dobiega płacz dziecka. Żołnierz, który już właśnie chcieli odbezpieczyć granaty, nadstuchują. Wahają się. Znowu płacz dziecka. Starszy sierżant z granatem w prawej ręce czyni gest zachęty w stronę Iwanowa).

IWANOW (Krzyżąc pod górę) Dort gibts Zivilbevölkerung?

JENIEC (Odkrzykując z góry) Ja, ungefaehr zehn Personen.

IWANOW — (Kiwnąwszy głową w stronę starszego sierżanta i pokazując mu dwukrotnym ruchem rozczapierzonej dłoni, że dziesięciu) Deutsche?

JENIEC Ich glaube nicht.

IWANOW Nie wie czy Niemcy.

STARSZY SIERŻANT. Tu mieszkali sami Niemcy. Wszędzie portrety Gitera...

IWANOW No to już. Dawaj!

STARSZY SIERŻANT Czekaj...

(Starszy sierżant się rozgląda. Dostrzega leżący długi kij. Podnosi go i umieszcza sobie pod pachą obok pepeszy. Wsunąłszy kij po przekątnej korytarzyka zaczyna stukać w drzwi. Zaraz też przez drzwi padają dwa strzały. W tej samej chwili starszy sierżant strzela w drzwi długą serią kończąc na zamku. Jęklące „Herrgott!”, odgłos padającego ciała i drzwi otwierają się ze skrzypieniem. Na schodach do piwnicy leży z pistoletem w dłoni Niemiec — podchorąży... Płacz dziecka.

KAPITAN (wołając) I co?

IWANOW Już. Ten Niemiec, co uciekł, kaputt! (Kapitan schodzi pro wadząc przed sobą jeńca).

IWANOW Ale w piwnicy jest jeszcze dziesięciu cywilnych Niemców. KAPITAN Niech krzykną, by wychodzili.

IWANOW On mówił, że tam w piwnicy jest dużo granatów i faustów... Może jednak (ruchem ręki, w której trzyma granat uzupełnia „rzucić”)

(Krzyk dziecka).

KAPITAN (Z niecierpliwym zdecydowaniem) Niech wychodzą! (Do jeńcy) Ruf...

IWANOW (Pośpiesznie) Rufe, die sollen rausgehen. Zuerst Maenner! (pokazawszy jeńcowi ruchem pepeszy, że ma podejść bliżej wejścia do piwnicy) Nur ohne Dummheiten!

KAPITAN Sprawdzić i... niech tam siedzą. Tylko zabrać wszystką broń. (Kapitan idzie do sklepu. Na znak starszego sierżanta, natychmiast schodzą do piwnicy, świecąc sobie latarkami dwaj żołnierze).

IWANOW (Do jeńcy) Du, Fritz! (Gestem pokazuje jeńcowi: podnieść ręce do góry i stanąć pod ścianą przeciwległą tej pod którą stoją cywile. Jeniec jest wyraźnie zawiedziony, ale wykonuje posłusznie. Z piwnicy wychodzą żołnierze niosąc skrzynię granatów i 4 panzerfausty).

STARSZY SIERŻANT To wszystko?

ŻOŁNIERZ Wszystko.

IWANOW (Klepnąwszy w ramię Lejmanowicza) Wo habt ihr ihre Handwaffen versteckt?

LEJMANOWICZ Was fuer Waffen?

IWANOW Du bist auch genug jung um noch Waffe tragen.

LEJMANOWICZ Wer sollte uns geben?

IWANOW (Do starszego sierżanta). Mówi, że nie mają broni. Ale to nie prawda. W Volksturmie starszym dawano.

LEJMANOWICZ Ale nie Polakom...

IWANOW Polakom? To wasz dom?

LEJMANOWICZ Tak.

IWANOW W polskich mieszkaniach portrety fuhrera?

LEJMANOWICZ Tu mieszkali Niemcy... Od pięciu lat.

IWANOW To co ty tu robisz.

LEJMANOWICZ Bo w baraku nie ma piwnicy. Więc jak zaczęły się walki, schroniliśmy się tu.

STARSZY SIERŻANT Sprawdzić dokumenty!

(Lejmanowicz zdjąwszy prawą rękę z karku, sięga nią zza pazuchy „ausweis” i podaje przez ramię).

IWANOW (Czytając) Dokument jak ki mają Polacy. Lejmanowicz Czesław... A nie fałszywy? Obróć się. Niech zobaczę twoją twarz.

(Lejmanowicz odwraca się. Dopiero teraz, stanąwszy twarzą do Rosjanina, dostrzega na jego uszance gwiazdę. Zaskoczony, wodzi oczyma po czapkach pozostałych żołnierzy sprawdzając czy też mają gwiazdki. Wreszcie zauważywszy, że Niemiec — jeniec stoi z podniesionymi rękami twarzą do przeciwległej ściany, opuszcza swoje).

LEJMANOWICZ To wy Ruscy?! (Do Zenka stojącego wciąż po dawanemu i tylko zezującego na ojca) Zenek — to nie własowcy! Ten Szkiber jest ich jeńcem! To naprawdę Sowietci! Z czerwonymi gwiazdami!

Kapitan (Właśnie wychodzący ze sklepu). Co się tu dzieje.

STARSZY SIERŻANT Towarzyszu kapitanie. To nie niemieccy cywile! (W tej chwili wybucha gwałtowny strzelanina).

KAPITAN Iwanow! Pilnuj ich. (Do starszego sierżanta) Biegnij na górę. (Wybiega do sklepu).

KAPITAN (Wbiegając do sklepu, gdzie na ladzie rozstawił radiostację Sorokin) Co to?

SOROKIN Z tamtej strony (Pokazuje drzwi wiodące do pokoju)

KAPITAN (Biegnąc ku tym drzwiom). Gotowyś?

SOROKIN Kalinienki nie ma.

(Kapitan przemierza przyległy do sklepu pokój, wchodzi do następnego o dwóch oknach wychodzących w stronę kościoła, łączący się z kuchnią. Przy jednym z okien zaczajony Michajłow. Głośniejsze odgłosy walki).

KAPITAN Co się dzieje?

MICHAJŁOW (Tylko na moment odwróciwszy głowę w stronę kapitana). Zaatakowali naszych w kościele. Ostro. Dużo ich. Ale pepeszą nie sięgnę. (Krzyczy). Tu też się pchają!

KAPITAN (Już stojąc za Michajłowem) Widzę... Zaraz tu... (W tej chwili dobiegają strzały i z drugiej strony. Kapitan raptownie odwraca głowę. Zaraz jednak pochyla się nad żołnierzem) Michajłow — nie prze-

puść ich przez pole. (Michajłow zaczyna strzelać. Kapitan biegnie do sąsiedniego pokoju, którego okna wychodzą na ulicę przedmiejską. Przy jednym z okien usadowiony Parchitko. Strzela).

PARCHITKO (Do stojącego za nim kapitana) Przeskakują za ten barak...

KAPITAN A więc i z tej strony... (Przechodzi do sąsiedniego okna i wychyliwszy się wola). Wszyscy do budynku! (Przechodzi do sklepu, do którego przez wyłamane wejście wbiega właśnie dwóch żołnierzy, po czym jeszcze dwóch wciąga maksyma).

KAPITAN (Do dwóch pierwszych żołnierzy) Tu zostajecie. (Do cekaemistów) Za mną! (Przechodząc obok lady z radiostacją do Sorokina). No gdzieś zgubił swego Kalinienkę?! (Do cekaemistów). Szybciej! (Prowadzi ich do pokoju od strony kościoła i już od progu, pokazując okno, przy którym zmienia właśnie dyk swoją pepeszy Michajłow). Tam — i nie przepuście ich przez pole. Ty Michajłow...

MICHAJŁOW (Odwracając się z nerwową). Ich miotaczami płomie ni... Jednocześnie z trzech stron. Chyba nikt nie ocalał...

KAPITAN (Dokakując po pierwszym zdaniu Michajłowa do okna) Co oni tam!.. Dalej Michajłowie, przejdź do tego okna. Uważaj na szope, bo... (Nie kończąc groźby, biegnie przez pokój, wskazując okno, przy którym zmienia właśnie dyk swoją pepeszy Michajłow). Tam — i nie przepuście ich przez pole. Ty Michajłow...

KAPITAN (Do Iwanowa) Wpędź ich wszystkich do piwnicy i pilnuj! LEJMANOWICZ Panie kapitanie! My...

KAPITAN (Lekceważąc wołanie Polaka) Wykonuj! (Dochodząc do schodów wola). Jest tam któryś! (Otrzymawszy odpowiedź: „Niestety, ko”) Powtórz sierżantowi: Uważać na tych w górze, mogą zacząć też szumieć!

(W tym czasie Iwanow wpędził już wszystkich Polaków do piwnicy, zaś Niemca usadził na stopniach schodów do niej. W tej chwili przez drzwi do sklepu, Masza młoda dziewczyna w waciaku, z epoletami młodszego lejtnanta i torbą sanitariuszki — wciąga wraz z żołnierzem nieprzytomnego starszego lejtnanta, bez butów, z przewiazanymi obiema nogami).

KAPITAN Sierioża!

MASZA Od tych z góry. A Kalinienkę na miejscu...

KAPITAN Baterie wzięłaś?! No od Kalinienki!

MASZA Nie zdążyłam. Ledwie wciągnęłam politruka do rowu, a już...

KAPITAN (otwierając drzwi do sklepu) Sorokin! Kalinienko zabity. (Do Maszy) Gdzie leży?

MASZA Przy tej bocznej drodze, po drugiej stronie ulicy. Pod takim drzewem...

KAPITAN (Ze złością do Sorokina stojącego w drzwiach) Słyszałaś? Coś teraz wart... (Do Maszy) A jakim cudem ty tu zdołałaś?

MASZA Ciągnęłam go rowem... Głęboki... Ale teraz już musiałam ryzykować... Na szczęście...

KAPITAN Dobrze, że jesteś. Tam (pokazuje w stronę sklepu) masz jeszcze jednego. Kriukow. Chyba tylko kontuzja... Gdzie się urządził... Tu nie możesz... A w piwnicy...

MASZA Muszę mieć światło.

KAPITAN To jednak w piwnicy. Iwanow — pomóżesz... Tylko uważajcie na siebie! No — bywaj! Kriukowa każę znieść. (Wchodząc do sklepu) Sorokin!

ŻOŁNIERZ (Jeden z dwóch zabezpieczających wejście do sklepu zabarykadowane już workami, coś pilnie obserwujących) Już pobiegł!

KAPITAN Dokąd?! Kto mu... Przecież tam już... (W tej chwili rozlega się głośnie seria. Wszyscy odruchowo spoglądają w górę).

KAPITAN Upolowali go...

Anna Siekierska

LIPIEC SERCU MIŁY

Lipiec przywołuje zawsze w mej pamięci tamten — sprzed wielu lat — miesiąc, w którym kręty mi ścieżką dotarła do mnie wieść o Manifestie PKWN. Wówczas, a było to 24 lata temu, za drzwiami kolczastymi Oświęcimia, doniosłość tego faktu kojarzyła się ze zwycięstwem nad faszyzmem, z wolnością i powrotem do rodzinnego miasta. Był to przecież jeszcze wojenny lipiec.

Od tego czasu każdy pachnący latem lipiec stał się dla mnie jak gdyby kontynuacją zapoczątkowanej z drutami radości. Może właśnie dlatego miesiąc ten ma dla mnie jakieś szczególne znaczenie i nieodmiennie wiąże się z uroczystym, a przecież radosnym nastrojem. I tak jest nie tylko w moim odczuciu. Przekonałam się o tym, rozmawiając z wieloma osobami, którym Lipcowe Święto kojarzy się także z miłymi i niezapomnianymi przeżyciami.

W moich reporterskich wędrówkach odkryłam, że sporo poznaniaków Dzień Odrodzenia święci szczególnie. Niektórzy nasi rozmówcy mają okres okupacji na szczęście tylko z opowiadań i lektur. Dlatego w ich wypowiedziach zawarte są zupełnie inne wspomnienia, bardziej związane z ich życiowym awansem, rozwojem miasta, lub osobistymi przeżyciami. Każdy jednak z nich łączy w jakiś sposób Lipcowe Święto z tym niecodziennym dla niego przeżyciem, ba, uważa nawet, że lipiec jest uprzywilejowanym dla niego miesiącem. Moi rozmówcy przytoczyli sporo konkretnych faktów, choć osobom postronnym mogą się one wydawać przyziemne i codzienne. Może... ale nie zapominajmy, że każdy z nas inaczej ocenia wartość doznanych radości.

Dla Jana Zagrockiego Święto Odrodzenia kojarzy się z kilku i to bardzo przyjemnymi przeżyciami. Zaczęło się w lipcu 1948 roku. Roz-

począł wówczas pracę w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym. Nie byłoby w tym oczywiście nic szczególnego, gdyby nie fakt, że właśnie kilka dni temu obchodził 20-lecie pracy w MPK. A to ma już niemałe znaczenie w życiu każdego człowieka. Tym większe, jak w przypadku J. Zagrockiego, który za nieprzerwaną pracę otrzymał niedawno dyplom uznania i gratyfikację pieniężną. To na pewno cieszy, zwłaszcza, że nasz rozmówca nie od razu został instruktorem w MPK. Obecnie należy do wypróbowanych pracowników. W ciągu minionych lat jeszcze dwa lipce utrwaliły się w pamięci J. Zagrockiego. W 1952 r., jako przewodnik pracy, wyjechał na

Dokończenie na str. 4

GŁOS TYGODNIA

Nr 351

3

21 VII 1968

GOSPODARZE JEDNEJ FABRYKI

Wystarczy na czas jakiś zatrzymać wentylatory, których w myślne rury opłatają fabryczne hale, maszyny, stanowiska robocze, by gęsty tuman przesłonił jasne pomieszczenia i uniemożliwił robotę. Bez przerwy więc potężne ssawki wchłaniają szkodliwy kurz i niosą go rurociągami na spalanie do kotłowni lub na wysypisko.

Główny mechanik informuje: „będzie tego codziennie około dwie tony, miesięcznie — 40 ton... To bardzo kosztowny pył; utrzymanie całego systemu wentylacji pochłania rocznie 600.000 zł”.

Nie miał takich zmartwień i wydatków J. Sroczyński, gdy w 1906 roku zakładał poznańską Fabrykę Mebli Artystycznych. Nie miał też ich później, na krótko przed wojną, gdy fabryka się nieco rozrosła i zatrudniała w chwilach dobrej koniunktury 80—90 ludzi.

— Wtedy — wspomina jeden z najstarszych stolarzy fabrycznych — pracowałem się strugiem, a i szlifowanie odbywało się ręcznie. Dwie, trzy maszyny wystarczały, bo choć meble robiłymi piękne, szło ich przecież niewiele.

Istotnie, firma Sroczyńskiego nie nastawiała się na masową produkcję i, jak sama nazwa wskazuje, robiła meble wyłącznie dla „lepszych” obywateli: ziemian, wysokich urzędników i burżuazji.

Klient uboższy, choć bardzo liczny, był poza sferą działania, nie tylko tej firmy (w Polsce międzywojennej istniały zaledwie dwie fabryki mebli giętych), bowiem nie stanowił on żadnej bazy dla robienia dobrych interesów. A przecież rzecz wyłącznie do zysku się sprowadzała.

Liczmy nasze dzieje — mówią w fabryce — od 1945 roku, a gdy chodzi o tradycje meblarskie — sięgamy nawet dalej. Cóż jednak pozostało z dawnego zakładu Sroczyńskiego? Jakże mały z nim związek? W zasadzie — żaden. Przy ulicy Szczyńskiej, gdzieśmy zaczęli po upaństwowieniu fabryki, mieści się tylko jeden, najmniejszy z naszych oddziałów, zajmujący się produkcją prototypową i modelową.

Najcenniejsi w przejętej fabryce byli ludzie, znakomici fachowcy, świetni pracownicy, nosiciele stolarzkiej wiedzy i dobrej roboty. Pierwsi pojawili się po wyzwoleniu Jan Matuszak, Włodzimierz Rau, Zygmunt Józwiak, Stefan Frankowski, Franciszek Kosmowski, Leon Tomczak i dziesiątka innych. Im to — zapalonym hasłami Manifestu Lipcowego — zawdzięczać trzeba, że niezwłocznie podjęto trud odbudowy i szybkiego wznowienia produkcji. Oni praktycznie przejęli fabrykę we władanie. Co aktywniejsi robotnicy zaczęli organizować grupy partyjne PPR i PPS.

Ludzie byli kapitałem najcenniejszym, bo ludowa władza miała plany dalekosiężne i ambitne: trzeba szybko zerwać z tradycją rzemieślniczą, czego rekordziela i zabrać się do produkcji iskrze przemysłowej, liczonej i szybkiej. Na meble czekały tym razem nie setki wybranych, lecz mi-

liony ludzi pracy, równoprawnych obywateli.

Na starych więc śmieciach, ale coraz bardziej nowoczesnie, nowi właściciele fabryki zaczęli swoje wspólne gospodarowanie. Wprawdzie snuto zamiary, by jak najszybciej opuścić ciasne pomieszczenia, lecz nie zawsze tak jest, jak by się chciało i dopiero przed rokiem doszło do przeprowadzki na ul. Jeleniogórskiej, do nowego zupełnie obiektu.

48 milionów złotych inwestycyjnych kredytów przybrało kształt nowoczesnych hal, wydzielonej kotłowni, magazynów i biur, tworząc kompleks budynków, odpowiadający wszelkim prawidłom techniki i technologii współczesnego meblarstwa. Tu dopiero można było zorganizować robotę jak należy: wprowadzić mechaniczne powłokarki lakieru (zamiast pędzla) zainstalować liczniejsze maszyny szlifierskie, przemoćniki taśmowe, suszarnie i prasy.

— Łatwo pojąć rozmiary kroku, jaki dzieli nas od dawnego zakładu, gdy porównać choćby tylko warunki pracy tam i tu, rozmiary i metody pracy — dawniej i dzisiaj — informuje dyrektor fabryki, dr inż. Bolesław Usarewicz. — Zbudowano nam zakład dobry, dobrze zaprojektowany z przewidywaniem dalszego rozwoju. 330 ludzi wytwarza meble wartości 65 mln zł rocznie, ale już w przyszłym roku zwiększamy zatrudnienie o 40 osób, a produkujemy o 35 mln zł. Proszę te wielkości porównać z kosztem inwestycji.

Ten niebawomy skok wydajności nastąpi dzięki dalszej mechanizacji i doskonalszej organizacji pracy. Będzie więc parę tysięcy kompletów kombinowanych więcej, jeszcze nowoczesniej wykonanych i wykończonych.

Za czasów firmy Sroczyńskiego młoda była na klientelę z grubymi portfelami, nieliczną ale lukratywną. Nie było jednak mody na dbałość o robotniczy stan. Ktoś by tam przejmował się behapem, ktoś by zaprzęgał sobie głowę kulturą miejsca pracy. Obecnie brzmiały pojęcia, jak łazienka, gabinet lekarski, ośrodek wypoczynkowy. Nikt nie zajmował się robotniczą rodziną. Na ile było więc to możliwe w starych pomieszczeniach uruchomiono już w 1945 r. tzw. akcję socjalną, chociaż bardzo daleką jeszcze od ideałów. Biedono się lat wiele z zaspokojeniem wszystkich w tym zakresie potrzeb i chyba to zadecydowało, że projektantom nowego zakładu Egzekutywa organizacyjnej parady nakazała: „sektor socjalny musi być wzorowy”.

Nim więc wchodziło na piętro do dyrektora skracam w lewo, potem do niewielkiej poczekalni urządzonej na miniatury klub. Stąd prowadzi drzwi do gabinetów: lekarskiego, dentystycznego, do fizykoterapii, laboratorium... Czekają parę osób, są i dzieci jadące na kolonie.

We własnych bowiem ośrodkach kolonijnych fabryka zapewnia miejsce co roku wszystkim dzieciom. Starsi korzystają z wypoczynku w Zaniemyślu i Różance (góry), gdzie



zbudowano stałe fabryczne wcześniejsze.

Młodych do korzystania ze zdobyczy socjalnych zachęcać nie trzeba. Ze starszymi bywa jednak różnie. Nawyki ciężka jak kamień. W estetycznej jadalni, przyległej wraz z szatniami i umywalkami do hali produkcyjnej — prawie pusto, choć ogłoszono przerwę na śniadanie. Za to na kilku stanowiskach, w szatni przy szafkach — kubki z kawą i rozłożone papiery ze „sznytkami”. Dla czego nie idą do stołu jadalni? „A nie opłaci się”, „a bo to warto na tych parę minut”.

Starsi pracownicy o pełnych kwalifikacjach szli niezbyt ochoczo do nowego zakładu na Jeleniogórskiej. Niektórzy odmawiali, choć warunki pracy są tu nieporównywalnie lepsze. Dlaczego? To znów swoisty konflikt między nowoczesnością i tradycją, między wykami i postępowaniem.

„W nowym zakładzie jestem pracownikiem jednym z wielu, tu na starych śmieciach czuję się samodzielnie”.

„Przecież w produkcji taśmowej moje kwalifikacje są niewykorzystane”. Poza tym lepiej się czuję w małym warsztacie niż w wielkiej hali”.

Młodzi nie mają takich oporów: za nie chcieliby pracować w dawnych warunkach. Oni tworzą już nowe tradycje, nawyki i poglądy — zgodne z duchem czasu i nowoczesnymi sposobami produkcji.

W praktyce też utrwalają się zdobycze demokracji socjalistycznej: współzarządzanie przedsiębiorstwem i współdecydowanie o jego rozwoju. Ale tu już nie ma różnic, przeciwnie: młodzi uczą się zaangażowania od starszych.

Gdy więc padło wezwanie do uczczenia V Zjazdu PZPR — nie zabrakło nikogo. Mąż zaufania tapicerni — Hieronim Sznajder — zaproponował: uszyjemy firanki, kapy na łóżka i serwety dla naszego campingu w Zaniemyślu, to ludzie dodali: jak trzeba — zrobimy i inną robotę, byle osiedle stało gotowe na czas. Nie inaczej było w innych wydziałach Fabryki.

Nazbierało się tych zobowiązań i czynów społecznych sporo bo aż na 814.000 zł. Wykonano już z tego ponad pół miliona.

Zygmunt Józwiak (26 lat pracy w PFM) mówi: „zobowiązania podejmowaliśmy na naradach robotniczych. Czy zawsze realne? Raczej tak, przecież sami najlepiej wiemy na co nas stać, a robimy chętnie”.

Mówią tu o złotych rękach Jana Chmielewskiego, o Zdzisławie Bardziku, o Janie Zimnym, którego talentu ślusarskiego i ochoty nikt jeszcze nie zdystansował, o Leonie Tomczaku i Józefie Kozickim, których ofiarność zna chyba każdy w Fabryce. A przecież nie wolno zapominać o „człowieku bez zegarka”

— jak mówią — Józefie Matysiauku, który pełni funkcję I sekretarza POP.

Z taką załogą można zrobić wiele. Stąd i perspektywy w Poznańskich Fabrykach Mebli dostrzega się optymistycznie, zachęcające do dalszej dobrej roboty. Na koniec trzeba jednak wyjaśnić, dla czego nazwa PFM ma liczbę mnogą. Otóż na całość organizacyjną przedsiębiorstwa składają się jeszcze nie wymienione tu fabryki: w Kościanie i Mosinie. Tych dzieje były jednak nieco inne.

My ZMP

Dokończenie ze str. 1

tykuje. Otóż nie ulega wątpliwości, że znaczna część zarzutów padała z ust lub z inspiracji tych, którzy kierowali się nieczystymi intencjami. Byli to wrogowie socjalizmu, którzy atakując ZMP chcieli doprowadzić do zniweczenia wpływu partii na młodzież. Byli to również ci, którzy po 1948 r. przodowali np. w naruszaniu praworządności socjalistycznej, w lekceważeniu patriotyzmu, wyróżniali się występującą u nich rozbieżnością między słowami i czynami. W 1956 r., gdy jasne się stało, że czas tego rodzaju praktyki minął — starali się utrzymać na powierzchni życia publicznego nagłą zmianą frontu. Nie wahali się ratować własnej skóry, oskarżając zetempowców i wszystkich tych, którym niegdyś mydlili oczy, których oszukiwali. To ci sami zbankrutowani politycy, którzy w marcu 1968 r. usiłowali odzyskać władzę szermując szeroko liberalnymi hasłami.

LESŁAW TOKARSKI

P. S. Drugą część artykułu pt. „My ZMP” zamieścimy we wtorkowym numerze „Głosu”.

LIPIEC SERCU MIŁY

Dokończenie ze str. 3

Złot Młodzieży do Warszawy. Pięć lat temu, także w lipcu otrzymał mieszkanie.

— Wydarzeniem, o którym nie zapomnę — wspomina Urszula Lotka — stał się dla mnie lipiec 1965 r. Po skończeniu Zasadniczej Szkoły Handlowej rozpocząłem pracę w handlu. Lubię tę pracę, choć początki wcale nie były dla mnie łatwe. Od półtora roku prowadzę sklep spożywczy PSS przy ul. Woźnej. Pracuję z ekipą młodzieżową. Awansu nie przyjąłem obojętnie. Przeciwnie. Szczególnie ucieszył mnie fakt, że moje władze oceniły wysiłek i starania, aby klienci nie mieli powodów do narzekania. W ciągu półtora roku nie miałam manka, a to się liczy. Lipiec stał się dla mnie jakimś szczęśliwym miesiącem. Właśnie w tych dniach dowiedziałam się, że na początku sierpnia pojedę na wycieczkę do Austrii, organizowaną dla wyróżniających się w pracy ZMS-owców. Poznań otrzymał tylko dwa miejsca, tym większe dla mnie wyróżnienie. Lipcowe Święto spędzę zatem w radośnym nastroju.

Data — 15 lipiec 1948 rok utrwaliła się w pamięci Haliny Juszcak. 20 lat temu po raz pierwszy założyła na biały czepek czarną wstążkę. Dyplomowana pielęgniarka. Datę tę skrzętnie przechowuje we wspomnieniach, gdyż w ciągu minionych lat nie żałowała swego wyboru. Zupelnie mimo woli każdy nadchodzący lipiec nasuwa refleksje. Bo przecież od tamtego dnia w 1948 r. wiele zmieniło się w Poznaniu, służbie zdrowia, w jej życiu osobistym — tylko pacjenci pozostali podobni. Często rozdrażnieni, niecierpliwi, rzadziej pogodni i pełni wiary w pokonanie choroby. Przez 20 lat H. Juszcak nie zagubiła serca. Ma je dla wszystkich bez wyjątku pacjentów. Aktualnie nasza rozmówczyni pracuje w Dzielnicowym Zarządzie Służby Zdrowia i Opieki Społecznej na Grunwaldzie.

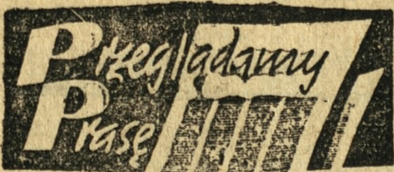
— 12 lat temu — wspomina Henryk Wajnert — rozpocząłem pracę

w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Nie posiadałem jeszcze wówczas ani dostatecznej wiedzy teoretycznej, ani doświadczeń praktycznych. Byłem pracownikiem fizycznym — monterem maszyn nowym. Dalszą wiedzę zdobywałem już w moim przedsiębiorstwie. Nie na próżno, bo właśnie kilka dni temu zdałem egzamin mistrzowski. A więc znowu w lipcu. Obecnie jestem mistrzem ruchu przy nowym ujęciu wody. Praca ciekawa, przede wszystkim pozwalająca na dokładne poznanie nowoczesnych urządzeń. Awans przyniósł mi też podwyżkę. Rok temu, także w lipcu przeprowadziłem się do 3-pokojowego mieszkania. Zeszłoroczne Święto Lipcowe obchodziłem już na nowych „śmieciach”. To była prawdziwa radość dla mnie i mojej rodziny. Tak prywatnie zdradzę, że w lipcu obchodzę również imieniny. Dzień jak inne, a jednak miłszy.

W lipcu 1966 r. Zdzisława Bosiacka zdała maturę w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym i na tymczasie przystąpiła do pracy. Od tego czasu stała się łącznikiem między klientami rozmaitych miast. Pracuje bowiem w Okręgowym Urzędzie Telekomunikacji Międzydzielnicowej przy ul. 23 Lutego. Z. Bosiacka uważa, że jej praca jest bardzo ciekawa i na razie nie ma zamiaru jej zmieniać. W przyszłości jednak, jeśli na to pozwolą warunki, chciałaby studiować filologię polską. W każdym razie każdy następny lipiec związany będzie w jej pamięci z objęciem pierwszej w życiu posady.

Lipiec w życiu moich rozmówców stał się więc jakimś szczególnym miesiącem. Pierwsza posada, awans, nowe mieszkanie — to przecież, o których przecież się nie zapomina, a które bezwiednie kojarzą się z radośnym, pełnym słońca Świętem Odrodzenia. Bo lipcowy dzień z 1944 r. jest dla nas — Polaków świętem radości i takim pozostanie.

ANNA SIEKIERSKA



„W tym roku Święto Lipcowe otacza atmosfera niecodzienna. Refleksyjna, dyskusyjna, pełna nadziei i optymizmu. Bardziej niż zawsze dynamiczna (...) Wydarzenia nie są same, które się stały dla naszej świadomości emocjonalnym i umysłowym wstrząsem. Oczekiwani Zjazd Partii, który podejmie decyzje najważniejsze: wytyczy drogę dalszego rozwoju Polski. Zbieg doniosłych rocznic historycznych, które siłą rzeczy skłaniają każdego do zastanowień już niepowodzeń i prywatnych, ale szerokie i publicznych: skąd idziemy, dokąd idziemy i w jakim idziemy tempie. Owe trzy przyczyny, zachodzące łącznie, dają efekt jakościowy. Efekt widoczny w ludzkich postawach, nastrojach, wypowiedziach. Świadczą o woli myślenia i działania, o zbiorowej aktywności skierowanej ku pomnożeniu wspólnego, narodowego dobra”.

Cytat ten zaczerpnięty z artykułu wstępnego „Kultura” oddaje charakter obecnej atmosfery społecznej, znajduje też swój wyraz w świątecznych wydaniach naszej prasy krajowej. Okolicznościowe artykuły, reportaże, wspomnienia sięgające do tamtych pierwszych

dni lipcowych i teraźniejszości, łączą się w jeden wspólny motyw patriotycznej dumy z „wczorajszego” i troski o „jutrzejsze”. W tym sensie jednolity tematycznie jest drugi motyw, przewijający się w prasie, mowa o rozwijającej się na łamach dyskusji przedzjazdowej.

Próbę rozliczeń z 24 lat naszego nowego bytu narodowego zawiera artykuł Władysława Machejka w „Życiu Literackim” pt. „Racja stanu i granice”.

„...od symbolicznej daty poczynając jednoczymy się najpierw wokół awangardowej mniejszości, a teraz wokół większości — a w tej większości są wczorajscy lewicowcy, AK-owcy, BCH-owcy i bezpartyjni — przyciągając grupy bezwzględnych czy zblakanych, jednoczymy się przekonani polską racją stanu (...) Coraz bardziej (...) narodowy punkt widzenia na naszą sytuację i perspektywy rozwojowe pokrywa się z państwową racją stanu. I w tym aspekcie np. i z tych przyczyn m. in. coraz bardziej serdecznie przyjaźń z ZSRR (...) i trzeba tu podkreślić z naciskiem: wszelka niepogoda na firmamencie międzynarodowym, a szczególnie europejskim — sprzyja zacieśnianiu sojuszu i tym samym uczucie bratersko-sojuszniczych, i należy także stwierdzić: każdy wyłom a może tylko zrygawkę w jednolitej polityce sygnatariuszy państw Układu Warszawskiego wobec faryzejskiej polityki Bonn, każde pochylenie w kierunku separatystycznych kontaktów odbija się w naszym narodzie skutkami integracyjnymi i coraz bardziej proradziecko — właśnie

w związku z niezawodnym stosunkiem ZSRR wobec polskiej racji stanu”.

Myśl tę kontynuuje przewodniczący CK SD prof. Stanisław Kulczyński w artykule pt. „Święto Narodu” zamieszczonym w „Tygodniku Demokratycznym”:

„Zespolenie we Froncie Jedności Narodu sił partii i klasy robotniczej z siłami Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, zespolenie we FJN wszystkich patriotów, którym bliska i droga jest przyszłość budującej socjalizm Polski, umożliwiło wyzwolenie wielkich pokładów energii, pracowitości i ofiarności narodu, tylekroć w naszych dziejach trwonionych przez egoizm klas posiadających. 24 lata Polski Ludowej dokumentują prawdę, że naród zespolony w poczuciu niepodzielnego gospodarstwa swym krajem i wykonywania swego losu, stał na dokonania przekraczające miarę pojęcia przeciętnej stopy rozwoju”.

Tę lipcową tematykę podejmuje również Zenon Komender w artykule „Podstawy rozwoju” zamieszczonym w „Kierunkach”; „Żołnierz Polski” sięga do wspomnień o „Gwardyjskim Batalionie Polaków” saperach 6 batalionu, którzy pierwsi wkroczyli do Chelma, pierwsi dotarli nad Wisłę i pierwsi z polskich żołnierzy byli nad Odrą. Sylwetki tych żołnierzy kreślą Adam Kołodziejczyk i Rajmund Kułiński. Z kolei w „Zwierciadle” znajdujemy inne sylwetki pła-

Barbary W. Olszewskiej — rówieśniczki Lipcowego Manifestu, których życie związane jest już tylko z dniem dzisiejszym.

„Tygodnik Kulturalny” w swej lipcowej szacie prowadzi dyskusję przedzjazdową w artykule „Początek wielkiej debaty”:

„Myślą przewodnią zarówno zdecydowanej większości wypowiedzi na Plenum jak i części też jest stwierdzenie że główną przyczyną zaniedbań frontu ideologicznego było niezrozumienie nowej funkcji społecznej, jaką w obecnych czasach w ogólnej strategii imperializmu, przypadała w krajach socjalistycznych rewizjonizmowi, który spełnia rolę czołwki sił antysocjalistycznych, dążących do przywrócenia burżuazyjnej demokracji, wreszcie do „wyłuskania” z obozu socjalistycznego poszczególnych krajów. (...) Przy tym atak rewizjonizmu koncentruje się nie tylko na sferze ideologii, ale i na podstawowych zasadach gospodarki socjalistycznej.

Wszystko to uświadamia szczególnie konieczność upowszechniania socjalizmu jako ideologii i jako nauki wśród całego społeczeństwa.

Jakie są słabości frontu ideologicznego, jakie są tego źródła — stara się odpowiedzieć Józef Lenart we „Współczesności” w artykule pt. „Tezy”:

„Fakt, iż rewizjonistyczne schorzenie objęło w pierwszym rzędzie środowiska

ideotwórcze — w szczególności różne dziedziny nauk społecznych — miał negatywne skutki nie tylko w odniesieniu do wychowania młodzieży, zwłaszcza studiującej na wyższych uczelniach, lecz również w poważnej mierze pozbawiał partię naukowego zaplecza jej polityki, szerokiego uzasadnienia jej stosunku wobec szeregu problemów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, które przed partią stawiał życie (...) Wieloletnie próby zmierzające do unormowania sytuacji w tym zakresie, nie przyniosły pozytywnych rezultatów. To, co było cierpliwością i tolerancją cechującą politykę kulturalną partii, ośrodki rewizjonistyczne i kółka reakcji różnych odcieni pożytywały nam za słabość”.

Na Święto Lipcowe przypada również rocznica powstania Związku Młodzieży Polskiej. Próbę oceny tej organizacji zamieszczamy na innym miejscu. Ograniczmy się tutaj tylko do cytatu artykułu Edwarda Mikołajczyka z „Walki Młodych”. W artykule „Kto upartą ma wolę i dłoń...” stwierdza on:

„Piszę się dzisiaj, że pokoleniu ZMP-owskiemu zapal zastępował odpowiedzialność, a wiara w cel generalny — wybór środków prowadzących do celu. Nie waham się przed innym sformułowaniem: zapal, intensywna działalność, entuzjazm i wiara w cel generalny, to atrybuty młodości, które musi mieć na uwadze program edukacji socjalistycznej młodego pokolenia. Trzeba oddać część i sprawiedliwość działaczom i aktywistom ZMP, że potrafili ten zespół nawyków wpoić młodzieży”.

LEKTOR